

# Helena Karwacka

---

## Łódź w oczach pozytywistki : "Wśród kąkolu" Walerii Marrené-Morzkowskiej - pierwsza powieść o fabrycznym mieście

---

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 31, 147-174

---

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

HELENA KARWACKA

## ŁÓDŹ W OCZACH POZYTYWISTKI

WSRÓD KĄKOLU WALERII MARRENÉ-MORZKOWSKIEJ  
— PIERWSZA POWIEŚĆ O FABRYCZNYM MIĘŚCIE

Z miana pierwszego epika fabrycznej Łodzi i odkrywcy tego tematu w polskiej prozie narracyjnej długo i bezprawnie korzystał Wincenty Kosiakiewicz, autor wydanej w 1895 roku *Bawełny*<sup>1</sup>, dopiero bowiem wnikliwsze badania podjęte w ostatnich latach nad literacką przeszłością przemysłowego miasta pozwoliły ustalić, że tytuł ten należy się starszej od Kosiakiewicza pisarce warszawskiego pozytywizmu, Walerii Marrené (Morzkowskiej), autorce opublikowanej w 1890 roku na łamach „Biesiady Literackiej” powieści *Wśród kąkolu*<sup>2</sup>.

Trzeba powiedzieć, że czujność krytyków i badaczy tradycji kulturalnych Łodzi uspiły dawno, bo już przy okazji recenzowania *Bawełny* pojawiające się oświadczenia, że „ponętneho, ale trudnego zadania: wysnucia powieści z tła łódzkiego, chwycił się jeden Kosiakiewicz”. Autor tej wypowiedzi nie był jednak tego zupełnie pewny i przezornie dodawał: „o ile się nie mylę”<sup>3</sup>. Stwierdzono to już bez wahań w 1899 roku, gdy w wydaniu książkowym ukazała się nowa powieść o Łodzi, głośna *Ziemia obiecana* Władysława Reymonta, burzliwie i szeroko dyskutowana w warszawskiej i łódzkiej prasie, co dało okazję do przypomnień i konfrontacji. Kosiakiewicz był wówczas przywoływany jako ten, który „dotknął po raz pierwszy tematu zaczerpniętego ze sfery [łódzkich] stosunków”<sup>4</sup>. Dobrze jeszcze pamiętana *Bawełna*

---

<sup>1</sup> Rok wcześniej *Bawełna* publikowana była w odcinkach „Gazety Polskiej” i nosiła wówczas podtytuł: *powieść z życia łódzkiego*, z którego w wydaniu książkowym zrezygnowano.

<sup>2</sup> Druk powieści w odcinkach rozpoczął się 4 lipca w nr. 27 — zakończył 26 grudnia 1890 r. w nr. 52.

<sup>3</sup> W. Karczewski, *Przegląd piśmiennictwa*, „Biblioteka Warszawska” 1895, t. 1, s. 169.

<sup>4</sup> M. Badior, *Ziemia obiecana*, „Prawda” 1899, nr 5.

(Reymont znał ją również i nie miał o niej najlepszego zdania) stała się wtedy jedynym punktem odniesień i porównań, wiele tracąc w konfrontacji z *Ziemią obiecaną*. Nie wahano się nazwać powieści Kosiakiewicza „lichą ramotą”, której autor „dowiodł znakomicie tylko tego, jak dalece praca powieściowa może odskakiwać od życia”<sup>5</sup>. O zagubionej w rocznikach nie cieszącego się szczególniejszą popularnością i uznaniem magazynu literackiego, nigdy bowiem w książce nie wydanej, powieści Marrené nikt już nawet nie wspomniał. Nie próbowała także przypomnieć *Wśród kąkolu* żyjąca jeszcze wówczas autorka, co położyło na jej łódzkiej powieści ostateczną pieczęć zapomnienia.

Nic więc dziwnego, że w 1904 roku tylko *Bawelnę* i *Ziemię obiecaną* odnotował Stefan Gorski w swojej reportażowej książce o „Łodzi społecznej” jako jedyne próby przedstawienia w powieści skomplikowanych „stosunków miejscowych”, przyznając obu „duże zalety artystyczne” („wyróżnia się nimi — dodawał — zwłaszcza barwna *Ziemia obiecana*”), lecz niewielkie poznawcze: „jako utwory czysto beletrystyczne nie mogą sobie rościć prawa do dawania czytelnikowi pełnego a prawdziwego całokształtu życia i stosunków wielce różnorodnego środowiska ruchu przemysłowego”<sup>6</sup>.

Nie dopełnił tych informacji także Ludwik Stolarzewicz, autor pierwszego informatora o „literaturze Łodzi w ciągu jej istnienia”, książce wydanej w 1935 roku i do dziś stanowiącej podstawowe, lecz jakże już niewystarczające i wymagające licznych korekt i uzupełnień źródło informacji o życiu literackim fabrycznego miasta. Stwierdza tam, że *Bawelna* — „dzieło literackie bez wartości, a jako obraz miasta zupełnie powierzchowny — z gruntu fałszywy!” — jest „pierwszą powieścią o Łodzi”<sup>7</sup>. Za Stolarzewiczem informację tę powtarzają do tej pory wszyscy krytycy i badacze zajmujący się przeszłością literacką miasta, najczęściej w kontekście badań i wypowiedzi o *Ziemi obiecanej*<sup>8</sup>.

Choć tak długo korzystała z tytułu pierwszej łódzkiej powieści, *Bawelna* dotychczas nie doczekała się, poza okolicznościowymi

<sup>5</sup> *Ibidem*.

<sup>6</sup> S. Gorski, *Łódź społeczna*, Łódź 1904, s. 71.

<sup>7</sup> L. Stolarzewicz, *Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia*, Łódź [1935], s. 59.

<sup>8</sup> Zob. J. Krzyżanowski, *Władysław St. Reymont*, Lwów 1937; M. Romankówna, *Ziemia obiecana a rzeczywistość łódzka*, „Prace Polonistyczne” 1937; L. Budrecki, *Władysław St. Reymont*, Warszawa 1954; *Postłowie*, [w:] W. S. Reymont, *Ziemia obiecana*, Kraków 1956; A. Rynkowska, *Łódź, jaką widział Reymont*, „Osnowa” wiosna 1967; B. Kocówna, *Reymont*, Warszawa 1971.

wzmiankami i przygodnymi ocenami<sup>9</sup>, krytycznej weryfikacji i szerszej analizy badawczej, na co mimo w istocie niewielkich wartości artystycznych i poznawczych zasługuje. Lecz zanim to nastąpi, wypadnie odebrać jej główne prawo do szczególnego miejsca w literackich tradycjach fabrycznego miasta, a mianowicie owo pierwszeństwo w podjęciu łódzkiej tematyki, i wbudować w węgiel tych tradycji *Wśród kłólu* Marrené, powieść znacznie rzetelniejszą i wartościowszą niż *Bawełna*, a ponadto o cztery lata wcześniejszą.

Waleria Marrené, znana i w swoim czasie ceniona pisarka i publicystka warszawskiego pozytywizmu<sup>10</sup>, miała szczególne uprawnienia, aby zając się łódzką tematyką, była bowiem jedną z najdłużej i najczynniej współpracujących z tutejszą prasą przedstawicielką pisarskiego środowiska stolicy. Rozpoczęła tę współpracę jeszcze wówczas, gdy polska prasa była w wielonarodowym mieście fabrycznym zaledwie w nieśmiałym zaczątku, sondażem sprawdzającym, czy takie pismo znajdzie rację bytu i poparcie nielicznej tu jeszcze polskiej inteligencji. Taki charakter miała wyraźnie „Gazeta Łódzka”, tygodniowy dodatek do „Lodzer Zeitung”, wychodząca efemerycznie w 1881 roku, wśród której współpracowników znajdujemy już nazwisko przyszłej autorki *Wśród kłólu*<sup>11</sup>. O jej bliskich kontaktach z Łodzią zdecydowała jednak dopiero stała współpraca z „Dziennikiem Łódzkim”, wychodzącą tu od 1884 roku polską gazetą, której głównym założycielem, twórcą programu i wieloletnim redaktorem był osiadły w Łodzi młody warszawski adwokat, Henryk Elzenberg, były aktywny uczestnik ruchu „młodej prasy” i warszawskiego pozytywizmu<sup>12</sup>. W jego łódzkim piśmie Waleria Marrené zaczęła systematycznie zamieszczać „kroniki warszawskie” (*Listy z Warszawy*), stanowiące przegląd aktualnych wydarzeń życia literackiego i artystycznego stolicy, stając się tym samym głównym warszawskim korespondentem łódzkiego pisma. Opublikowała nadto w „Dzienniku” kilka obszerniejszych szkiców o polskiej i obcej literaturze, które

<sup>9</sup> M. Puchalska, „Encyklopedyzm” i „aktualizm”. Kilka uwag o prozie W. Kosciakiewicza, „Prace Polonistyczne” 1959, S. XV; Wincenty Kosciakiewicz (1863—1918), [w:] *Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu*, t. 4, Warszawa 1971, *Obraz Literatury Polskiej XIX i XX Wieku*.

<sup>10</sup> Zob. I. Wyczańska, *Waleria Marrené (Morzkowska), 1832—1903*, tamże, t. 2, Warszawa 1966, s. 241—258.

<sup>11</sup> Z. Gostkowski, „Dziennik Łódzki” w latach 1884—1892, Łódź 1963, s. 15.

<sup>12</sup> Zob. *ibidem*, s. 15—17, oraz R. Kaczmarek, *Elzenberg Henryk (1849—1899)*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 6, Kraków 1948, s. 238—239.

niekiedy, przekraczając rozmiary felietonu, drukowane były w jego specjalnych dodatkach. Współpraca ta przetrwała aż do 1889 roku, to jest do chwili zachowania przez „Dziennik” charakteru pisma również literackiego<sup>13</sup>, tracąc jednak z biegiem lat cechę systematyczności, w miejsce bowiem stałych kronik zaczęły przeglądy „Z literatury i sztuki”, w których pisała nie tylko o dobroku stołecznego środowiska twórczego, lecz także o ciekawszych zjawiskach w literaturze i sztuce europejskiej.

„Dziennik Łódzki” cenił sobie współpracę cieszącej się wówczas uznaniem i znaczną poczytnością pisarki, czego dowodem jest chociażby poświęcony jej szkic, którym pismo Elzenberga chciało uczcić dwudziestopięciolecie pracy „obywatelskiej i literackiej” Walerii Marrené. Jego autorka, Wilhelmina Kościałkowska, tak charakteryzowała postawę i przekonania jubilatki:

„Wszędzie w powieściach szerszego zakresu i w nowelkach, w studiach i artykułkach z bieżącej chwili podnosi śmiało sztandar postępu, szlachetnych prawd w swej bezwzględności zawsze wzniosłych, choć nie zawsze zrozumiałych. Nigdy i nigdzie pani Marrenowa nie uchyliła czoła przed przesądem strojącym się bodaj w nienaruszalności powagę [...] nie weszła w drobne chociażby lub pozorne ustępstwa wobec wszechwładnej reakcji lub rutyny. Zadnym widokiem materialnym, nawet żadnym szlachetniejszym pokusom popularności i poczytności samej nie poświęciła niezależności przekonań, pióra i słowa”<sup>14</sup>.

Łączyły Marrené z redaktorem „Dziennika Łódzkiego” także bliskie związki osobistej przyjaźni, nawiązanej i ugruntowanej już w Warszawie<sup>15</sup>, które umacniała ich wspólna przyjaźń z Elizą Orzeszkową, daleką krewną i wieloletnią przyjaciółką autorki *Wśród kąkol*. Elzenberg czuł się w pewnym sensie uczniem Orzeszkowej, utrzymywał z nią stały kontakt listowy<sup>16</sup> i w znacznej mierze pod wpływem jej ideologii kształtował program

<sup>13</sup> Od tego roku, wbrew podtytułowi: pismo przemysłowe, handlowe i literackie, „Dziennik Łódzki” niewiele już uwagi poświęcał literaturze, którą na jego łamach prezentował odtąd prawie wyłącznie odcinek beletrystyczny.

<sup>14</sup> W. Zyndram Kościałkowska, *Waleria Marrené (Morzkowska)*, „Dziennik Łódzki”, 17 V 1884.

<sup>15</sup> Wspomina o tym Elzenberg w korespondencji z Elizą Orzeszkową, zob. list z 9 marca 1879 r., rkps w Archiwum Elizy Orzeszkowej, Instytut Badań Literackich PAN w Warszawie, sygn. 800; dalsze cytaty listów Elzenberga pochodzą z tego samego źródła.

<sup>16</sup> Korespondencja Elzenberga z Orzeszkową trwała od 1878 do 1889 r.

„Dziennika”, widząc jego główne zadanie w „polonizowaniu” wielonarodowego miasta przemysłowego<sup>17</sup>. Łódź widział jako teren „pracy organicznej”, grunt wymagający szczególnego działania inteligencji polskiej, dający możliwość praktycznego realizowania haseł i idei, w jakich wychowała go pozytywistyczna Warszawa. Toteż swoją działalność w „największym ognisku przemysłowym kraju” pojmował jako pewnego rodzaju misję — zadanie pozytywisty. „Pismo polskie będzie tu u nas rodzajem posterunku”<sup>18</sup> — pisał w liście do Orzeszkowej, gorąco prosząc swoją znakomitą przyjaciółkę, aby zechciała wesprzeć jego wysiłki swoim piórem: „Dopomóż nam Pani [...] napisaniem artykułu społecznego o Żydach, zachęcając w końcowej apostrofie Żydów łódzkich do zgody z nami. W ostatnich dwu Kurierach [„Kurier Warszawski” — H. K.] był artykuł *Z polskiego Manchesteru* [...] racz go Pani przeczytać. Może da to Pani asumpt do napisania czegoś dla nas”<sup>19</sup>.

Wspomniany artykuł, napisany przez współzałożyciela i wydawcę „Dziennika Łódzkiego”, inżyniera Stefana Kossutha, przedstawiał obszernie skomplikowane „stosunki przemysłowe” w „polskim Manchesterze” i stanowił swoistego rodzaju wykładnię stanowiska grupy polskiej inteligencji w Łodzi, z której inicjatywy powstała tu pierwsza gazeta polska. Należy mu się więc nieco uwagi, tym bardziej że z przedstawionymi tu problemami wiązać się będzie blisko łódzka powieść Marrené. Kossuth bronił przede wszystkim tutejszy przemysł przed lekceważącym jego zdaniem stosunkiem do niego warszawskiej prasy. „Nie możemy pojąć — pisał — jakim sposobem jeden z najbardziej rozwiniętych w kraju przemysłów traktowany może być tak lekceważąco w prasie mającej odbijać opinie społeczeństwa, dla którego rozwój ekonomiczny stanowi jedno z najważniejszych zadań chwili obecnej” — i dodawał: „nie wolno karmić czytelników niedorzecznościami ekonomicznymi”<sup>20</sup>. Ale najzarliwszą polemikę wywołał zarzut jednego ze stołecznych sprawozdawców, że „Łódź jest kolonią fabryczną czysto niemiecką i pozostanie takową, jeśli nie na zawsze, to na długo”<sup>21</sup>.

Tej sprawie poświęcił Kossuth najwięcej uwagi i starał się ją wyjaśnić w obszernym, rzeczowo argumentowanym wywodzie, przedstawiając sytuację i stosunki narodowościowe w fabrycznym

<sup>17</sup> Zob. Gostkowski, *op. cit.*, s. 17—37.

<sup>18</sup> List z 19 lipca 1879 r.

<sup>19</sup> List z 9 grudnia 1883 r.

<sup>20</sup> S. Kossuth, *Z polskiego Manchesteru*, „Kurier Warszawski” 5 XII 1883.

<sup>21</sup> Tamże.

mieście, tak jak widziała je pracująca tu i zainteresowana nimi grupa polskiej inteligencji, chcąca przeciwdziałać postępującemu procesowi germanizacji drogą stopniowego asymilowania tutejszych Niemców i Żydów. W tej sprawie „chcemy pociągać, a nie odpychać” — pisał Elzenberg do Orzeszkowej i takie stanowisko przedstawiał w swoim artykule Kossuth. Jako sprzymierzeńca w tym procesie widział „krajowych Żydów”, których wyraźnie proniemieckie sympatie chciano przechylić na swoją stronę. Analizując ówczesną sytuację, Kossuth stwierdzał, że proces asymilacyjny „łódzkich Niemców” przebiegał pomyślnie mniej więcej do 1865/1866 roku, w którym „nastąpiły okoliczności, które ten proces zwolniły, a po części zupełnie przerwały”. Jako argumenty przytaczał usunięcie języka polskiego z urzędów, a następnie ze szkół i sądów, „zaprowadzenie osobnych szkół niemieckich” oraz upadek waluty rosyjskiej i podwyższenie cła. Nadto pozycję Niemców w Łodzi wzmacniała jego zdaniem „świeża potęga państwa niemieckiego”, zjednoczenie Niemiec (dokonane na drodze militarnej przez Prusy w latach 1866—1871), które „butą narodową” napełniło wielu osiadłych w Łodzi Niemców, zwłaszcza świeżo przybyłych, nie skłaniając ich w tej mierze, co np. wcześniejszych osadników, choćby do nauczania się języka polskiego. Jego znajomość — zapewniał nader pochopnie — posiadają prawie wszyscy wielcy przemysłowcy, którzy w przeważającej części rekrutują się z owych wcześniejszych przybyłych kolonistów, posiadających już obywatelstwo kraju. Stwierdzał jednak: „Pod względem językowym zaprzeczyć się nie da, iż Łódź stała się dziś bardziej niemiecka, niż była np. lat temu dwadzieścia”, lecz konkludował następująco:

„Łódź nie jest znów tak specjalnie i wyłącznie niemiecka, jakby o tym sądzić można z ogólnikowych określeń sprawozdawców warszawskich. Ta niemieckość manifestuje się głównie używaniem języka niemieckiego. O sympatiach bowiem państwowo-niemieckich nie może być mowy [...] Również nie może być mowy o jakimkolwiek nieprzyjaznym usposobieniu dla ludności krajowej. Jeżeli zaś pod jednym lub pod drugim względem występują niekiedy ujemne dla społeczności naszej obozy, to polegają one na częściej gadaninie i [...] pochodzą ze sfery przebywających tu czasowo”<sup>22</sup>.

Z tym najogólniej tu przedstawionym kręgiem nader skomplikowanych spraw i problemów przemysłowych i narodowościowych chciał Elzenberg zapoznać Orzeszkową, próbując zachęcić

<sup>22</sup> Tamże, 6 XII 1883.

ją do podjęcia łódzkiej tematyki również w powieści bądź noweli<sup>23</sup>. Szło mu głównie o szczególnie mu bliskie, jako Żydowi z pochodzenia, a od lat interesujące autorkę *Meira Ezołowicza* sprawy asymilacji polskich Żydów. „Gdyby tu można Żydów spolonizować, Łódź byłaby polską” — pisał w jednym z listów do Orzeszkowej<sup>24</sup>. Nie jest zatem wykluczone, że z podobną prośbą zwracał się do Walerii Marrené, typując ją jako autorkę podejmującą sprawę tutejszych Niemców, te bowiem problemy stać się miały ideową dominantą jej łódzkiej powieści. Autorka *Wśród kąkolu* zobaczyła je jednak zdecydowanie inaczej, niż widział je i chciał rozwiązać redaktor „Dziennika Łódzkiego”, stąd zapewne pierwsza powieść o „łódzkich stosunkach” nie ukazała się na łamach jego pisma, a Marrené zaprzestała dalszej z nim współpracy. Zderzyć się miały w tej sprawie niezwykle charakterystycznie dwie perspektywy widzenia: l o k a l n a, uwarunkowana zależnościami „Dziennika” od łódzkich kapitalistów (gazeta polska korzystała z dotacji Scheiblerów) i odmienną „taktyką” rozwiązywania niemieckiego problemu w przemysłowym mieście, oraz w a r s z a w s k a, stymulowana między innymi trendami ówczesnej polityki rosyjskiej, której antyniemieckie tendencje starała się wyzyskać stołeczna prasa, aby ostrzej pokazać ów nabrzmiały problem. Ale nie tylko na tym opierał się krytyczny i niechętny stosunek pozytywistycznej Warszawy do przemysłowej Łodzi, która była dla niej szczególnie „drażliwym” problemem, wypadnie więc jeszcze do tej sprawy powrócić.

<sup>23</sup> Np. w liście z 1 lutego 1885 r. Elzenberg przedstawiał Orzeszkowej „temat do pysznej nowelki”: „W fabryce Heinzla w Łodzi robotnik miał [wyraz nieczytelny] z lichego wynagrodzenia potrącone sumki, które odciągnięte od tygodniowego zarobku pozwalały na wypłacanie mu w końcu tygodnia drobniaków. Żona prześladowała go w domu, że zarobek przepija. Gdy razu jednego po całotygodniowej pracy przyniósł 58 kop. [autentyczny cały fakt] i z rozpaczą oddał je żonie, tłumacząc przyczynę [niechęć majstra — H.K.], ta wśród łajań rzuciła się czy zamierzyła na rozpaczzonego. Robotnik oddalił się i powiesił się. Temat ten opracowany ohydnie przysłał nam ktoś z miejscowych do »Dziennika Łódzkiego«. Drukować niepodobna, bo wartość literacka żadna, a i »Dz. Ł.« musi z wielkimi tego świata żyć w zgodzie, i Heinzla drażnić nie chce. Lecz tematu szkoda. Stosowny on dla Pani. Objąśniam, że obowiązujące w Królestwie prawo nie reguluje zgoła stosunku robotników do pracodawców, że pierwsi są oddani na samowolną postawę drugich i że dyktatorsko robione regulaminy fabryczne pozwalają bezpośrednim zwierzchnikom robotnika strącać z zarobku drobne kwoty za każde kilka minut opóźnienia. Proszę dodać częstą dosyć różnicę narodowości, a będziemy mieli piękny obraz”. Orzeszkowa tego tematu nie podjęła, lecz jako pisarka z „Dziennikiem Łódzkim” współpracowała, zamieszczając tu m. in. nowelę *Gedali*.

<sup>24</sup> List z 19 lipca 1879 r.



Skoro próbujemy wyjaśnić inspirację i genezę pierwszej łódzkiej powieści, trzeba również odpowiedzieć na pytanie, czy autorka *Wśród kąkolu* знаła Łódź tylko z korespondencyjnych kontaktów z „Dziennikiem Łódzkim” i tego, co pisała o niej warszawska publicystyka. Otóż udało się ustalić, że odwiedzała fabryczne miasto parokrotnie i spędzała tu po kilka dni, przygotowując się do napisania powieści o „polskim Manchesterze” już od 1887 roku. Donosił o takiej wizycie „Dziennik Łódzki” w lipcu tego roku.

„W mieście naszym od kilku dni bawi utalentowana powieściopisarka, pani Waleria Marrené, dobrze znana czytelnikom »Dziennika«, współpracowniczką naszą od chwili założenia pisma. W wizycie tej towarzyszy pani Marrené córka jej, Antonina Morzkowska, wyborna tłumaczka studiów estetycznych Pawła S. Victora i autorka wielu drobnych utworów beletrystycznych, drukowanych najczęściej pod pseudonimem Echowicza”<sup>25</sup>.

Miesiąc później nieco szerzej komentował ten fakt stały felietonista „Dziennika” Sarmaticus w kronice „Z tygodnia”, widząc w nim potwierdzenie wzrastającego zainteresowania Łodzią w Warszawie:

„Następnie mieliśmy odwiedziny pań: Marrenowej i Antoniny Morzkowskiej. Odwiedziny te były już więcej celowe, o tyle przynajmniej, że trwały kilka dni, w ciągu których obie panie poznać mogły powierzchowność miasta i zwiedzić większe zakłady fabryczne dość szczegółowo, dzięki uprzejmości właścicieli. A zatem prosimy o nowe wizyty warszawskie, tym życzliwiej, iż oczekujemy po nich jak najlepszego rezultatu”<sup>26</sup>.

Wiemy więc z tej więzłej notatki, że Waleria Marrené miała okazję, jako niewątpliwie jedna z pierwszych pisarek, a szerzej: przedstawicieli pisarskiego środowiska stolicy, zwiedzić łódzkie fabryki, które wówczas niezbyt chętnie pokazywane były obcym oczom, na co często uskarżać się będą ludzie pióra, a zwłaszcza publicyści<sup>27</sup>. Była w Łodzi jeszcze „parę razy, po parę dni, w celu, jak to nawet zapowiadała w swoim czasie prasa, napisania powieści osnutej na stosunkach łódzkich” — donosił już w trakcie publikowania *Wśród kąkolu* w „Biesiadzie Literackiej” łódzki „Dzien-

<sup>25</sup> Goście, „Dziennik Łódzki” 26 VII 1887.

<sup>26</sup> Sarmaticus [L. Kościelecki], *Z tygodnia*, „Dziennik Łódzki” 31 VII 1887.

<sup>27</sup> Piszą o tym m. in. XYZ [A. Gliszczyński i A. Mieszkowski] w reportażu *Łódź — miasto i ludzie*, Łódź 1894: „Matecznik puszczy fabrycznej wewnątrz swoje skrupulatnie zamyka przed okiem obserwatora, dając jedynie możność domyślać się i przeczuwać”.

nik”, zarzucając pisarce nie tylko niezrozumienie złożonych „stosunków przemysłowych”, lecz także zebranie informacji „drogą najpowierzchniwszej obserwacji”<sup>28</sup>. Czy tak było w istocie, czy przez publicystę „Dziennika” przemawiał tzw. lokalny patriotyzm, czuł się bowiem dotknięty już samym tytułem powieści, który nazwał „uprzejmym dla łodzian”, czy głębsze przekonanie, że powieść nie daje właściwego obrazu skomplikowanej łódzkiej rzeczywistości, że szkodzi nawet sprawom polskim w wielonarodowym mieście fabrycznym — przyjdzie odpowiedzieć tokiem dalszych wywodów. Tu natomiast trzeba podkreślić, że autorka *Wśród kąkol* przygotowywała się do podjęcia łódzkiego tematu w miarę swoich możliwości sumiennie, sposobem wchodzącym już — za najczęściej przywoływanym wówczas przykładem, Emilem Zolą — w powszechniejszą praktykę, a mianowicie przez zbadanie interesującego zjawiska w bezpośredniej obserwacji.

Łódzka problematyka, z natury rzeczy społeczna, nie pojawiała się niespodziewanie w bogatym już dorobku beletrystycznym dojrzałej pisarki. W chwili jej podjęcia Waleria Marrené miała za sobą trzydzieści lat pracy pisarskiej, uwieńczonych obfitym plonem kilkunastu powieści i kilkadziesiątu nowel, setek felietonów i szkiców literackich. Zdeklasowana ziemianka, o salonowym wychowaniu i rozległym, choć chaotycznym wykształceniu, w doświadczeniach i później (po stracie rodzinnego majątku) świadomie ukształtowanym modelu swego życia była typowym przykładem pozytywistycznej emancypantki, światłej i postępowej kobiety o żywej i chłonnej umysłowości, społecznej wrażliwości i estetycznych zainteresowaniach, lecz miernym raczej talencie literackim. W swojej twórczości przeszła znamiennej ewolucję, której zasadnicze ogniwo przypada na przełom lat siedemdziesiątych, przeobrażając się z pisarki śledzącej głównie uczuciowe perypetie swoich bohaterek i bohaterów, przedstawianych już za przykładem George Sand (która dla Marrené długo była obowiązującym wzorcem moralnym i estetycznym) z niemałą odwagą wobec obowiązujących konwenansów obyczajowych i stanowych, w pisarkę pozytywistycznych tendencji, gorliwą rzeczniczkę samodzielnosci i niezależności kobiet oraz coraz liczniejszych rzesz „wysadzonych z siodła”. Krytycy, również zaprzyjaźniona z Marrené Orzeszkowa<sup>29</sup>, zgodni byli na ogół w opinii, że w pierwszej

<sup>28</sup> *Homomovus* [K. Łaganowski], *Z tygodnia*, „Dziennik Łódzki” 19 X 1890.

<sup>29</sup> Przyjaźń ta z biegiem lat uległa znacznemu ochłodzeniu, a przyczyną tego stała się sława i rozgłos Orzeszkowej, których Marrené nigdy w tym stopniu nie udało się pozyskać; jej pisarstwo krytycznie oceniała Orzesz-

fazie swojej twórczości była ona pisarką ciekawszą i oryginalniejszą<sup>30</sup>.

Mimo coraz częściej pojawiających się ocen krytycznych, zarzucających autorce uproszczenia i schematyzm, powieści i nowele Marrené, w których w latach osiemdziesiątych pojawił się także szerzej temat wielkomiejskiej nędzy (np. *Z wędrówek po mieście*, 1887), cieszyły się jeszcze w tym czasie znacznym zainteresowaniem czytelników, a ona sama otaczana była powszechnym szacunkiem. Sprawiała to przede wszystkim jej postawa moralna i postępowe przekonania, inicjatywy zwalczania obyczajowego obskurantyzmu i kastowych przywilejów, wrażliwość na społeczne upośledzenie „wydziedziczonych”, wśród których dostrzegała także krzywdę rosnącego liczebnie proletariatu miejskiego. Autorytet Marrené budował również jej żywy udział w życiu kulturalnym stolicy, gdzie wśród piszących kobiet zajmowała jedno z pierwszych miejsc. Stanowisko to potwierdzał jej skromny, lecz chętnie odwiedzany „salon literacki”, gdzie na poniedziałkowych spotkaniach zbierała się również próbująca pisać, zdradzająca artystyczne i „obywatelskie” zainteresowania młodzież. Nie uszła więc z pola widzenia aktywnie uczestniczącej w życiu literackim stolicy pisarki także sprawa zmiany postawy najmłodszego pokolenia wobec programu pozytywizmu, frontalnego ataku nowych „młodych” na jego zawężenia, kompromisy i złudzenia, a przede wszystkim społeczno-narodowe skutki. Echa tego miały w pewien sposób odbić się w jej łódzkiej powieści, głównie w kreacji naczelnego bohatera, ale zamknąć ją miała jeszcze w skostniałym już schemacie pozytywistycznej powieści z tezą.

W kontekście owych rewizji i koncentrycznych ataków na pozytywizm jako program społeczny uległ pewnej zmianie także stosunek warszawskich pism do przemysłowej Łodzi. Zaczęto pisać o niej częściej i wyraziściej dostrzegać rodzące się na jej gruncie sprzeczności i konflikty rozwijającego się kapitalizmu, rosnący wyzysk i upośledzenie proletariatu fabrycznego, choć w dalszym ciągu patrzono na te problemy głównie poprzez pryzmat „problemu niemieckiego”, poświęcając najwięcej uwagi sprawie postępującej germanizacji Łodzi i stosunkom niemiecko-polskim w tym

kowa już w 1880 roku w liście do T. T. Jeża, a w 1903 r. po śmierci Marrené odmówiła napisania jej nekrologu, stwierdzając w liście do S. Posnera, że powieści Marrené czyniły na niej „duże wrażenie, gdy jeszcze sama nie była pisarką”, później już nie (list do S. Posnera z 12 października 1903 r., [w:] E. Orzeszkowa, *Listy zebrane*, Wrocław 1954, t. 1, s. 245).

<sup>30</sup> Zob. P. Chmielowski, *Zarys najnowszej literatury polskiej (1864—1894)*, Kraków 1895, s. 239—240.

mieście. Nie należały więc do rzadkości ataki na bierną postawę polskiej części społeczeństwa łódzkiego, w tym także „Dziennika Łódzkiego”, często oskarżanego o hołdowanie „filozofii zgody z losem”, zbytnią oględność w stosunku do przejawów aktywności żywiołu niemieckiego, „ludzenie się mrzonkami o asymilacji zamężnej ludności niemieckiej”<sup>31</sup>.

Tym torem przetartym przez stołeczną publicystykę pójść miała Waleria Marrené, która w swojej łódzkiej powieści przedstawiła jako główny problem sprawę zgermanizowania przemysłowego miasta przez niemieckich fabrykantów, poświęcając jej największej uwagi i krytycznego komentarza. Z walki o spolszczenie Łodzi uczyniła naczelną ideę *Wśród kąkolu*, obarczając nią głównego bohatera powieści, doktora Jana Krzesławskiego, którego kreowała wedle najidealniejszego wzorca pozytywnego bohatera, jaki wypracowała pozytywistyczna beletrystyka i publicystyka rojąca się od „wziętych z życia” przykładów bezwzględnego, ponadosobistego poświęcenia nadrzędnej idei. Nie brakowało takich bohaterów także w dotychczasowym dorobku Marrené, stąd nie trudno odnaleźć w nim bliską zapowiedź bohatera *Wśród kąkolu* w młodym lekarzu-społeczniku, jednej z ważniejszych postaci powieści *Pani Felicja* (1885).

Jan Krzesławski, trzydziestoletni lekarz — jedna z bliższych antycypacji w pozytywistycznej prozie najślawniejszego lekarza-społecznika polskiej literatury, doktora Judyma Żeromskiego, niech więc wolno go będzie nazwać „łódzkim Judymem” — jest naczelną postacią powieści *Wśród kąkolu*. Wyposażyła go autorka we wszelkie wzniosłe i doskonałe cechy nieskazitelnego bohatera, społecznika i patrioty: jest więc on nie tylko znakomitym i pełnym poświęcenia lekarzem, szlachetnym, odważnym i energicznym człowiekiem, ale także żarliwym i konsekwentnym obrońcą spraw polskich w zniemczonym mieście, nadto młodym i interesującym mężczyzną. Na barki Krzesławskiego złożyła Marrené cały ciężar głównych tez i idei powieści, udzielając mu pełnych praw swojego *porte parole*, jego też sprawy w Łodzi uczyniła osią konstrukcyjną utworu. Z jego zatem przyczyny i często jego oczyma oglądamy ówczesną Łódź, poznajemy tutejsze stosunki i atmosferę, poszczególne środowiska i grupy społeczne, gdzie jawi się nieodmiennie zawsze jako niezłomny obrońca sprawiedliwości i polskości. On też przede wszystkim uzasadnia tytuł powieści, którego wykładnią jest sens popularnego powiedzenia, że nawet wśród chwastów kąkolu znaleźć można pełne kłosa zboża. Ciężar

<sup>31</sup> *Na widnokregu*, „Prawda” 1886, nr 6, s. 82.

więc, jakim obarczyła swego bohatera autorka, był dostatecznie duży, aby Jan Krzesławski — zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy — mógł wydać się czymś innym niż tylko konstrukcją czysto literacką, nierealną i wyabstrahowaną z życia kreacją idealnego bohatera pozytywnego, w tym też zasadniczo różniącą się od doktora Judyma.

Abstrakcyjności tej nabiera „łódzki Judym” zwłaszcza w zestawieniu z tłem swoich działań — pulsującą dramatycznymi konfliktami rzeczywistością fabrycznego miasta, w której drobiazgowych opisach wybranych sytuacji i obrazów ginie on i tonie, aby wyróżnić się z tej powodzi często niespodziewanie w swojej misji jedyne go sprawiedliwego. Mimo charakterystycznej ilustracyjności owego tła, którego składnikami jest spora liczba epizodycznych postaci, jest ono na tyle rozbudowane i przytłaczające, że może pretendować do roli drugiego bohatera powieści — bohatera zbiorowego. Tworzy go zróżnicowane społecznie i narodowo łódzkie społeczeństwo, pokazane przez autorkę w swoiście „reprezentacyjnych” grupach postaci połączonych wspólną sytuacją społeczną, rzadziej wspólnymi dążeniami i celami. Tak jest tylko w przypadku łódzkich Niemców, których solidarność narodową pokazała Marrené dobitnie, przeciwstawiając jej dezintegrację i słabość polskiej społeczności. Do tych dwóch żywiołów: polskiego i niemieckiego, ograniczyła w zasadzie swoją prezentację łódzkiego społeczeństwa, przedstawiając oba w pewnym stopniu społecznego zróżnicowania. Tak więc obok niemieckich fabrykantów pojawia się w jej powieści także ich nadzorczy personel fabryczny, a obok polskiej inteligencji również robotnicy oraz pracujące w fabrykach dzieci i kobiety, migawkowo też ludzie społecznego marginesu. Najszerzej rozbudowała Marrené epizody niemieckie, pokazując łódzkich fabrykantów także w ich życiu rodzinnym i towarzyskim, w zasobnych domach i snobistycznie urządzonej pałacach. W szerszym kontekście, aczkolwiek nie tak już rozbudowanym, przedstawiła również polską rodzinę inteligencką i robotniczą. Wśród tego gęszcza postaci, ukazywanych najczęściej w mroku osobistych tragedii czy, jak głównie Niemcy, w ciemnym świetle ich działań — jak jasny meteor pojawia się Jan Krzesławski, świeży przybysz w fabrycznym mieście, nie „zarażony” jeszcze jego zabójczą atmosferą moralną i egoizmem, którego Marrené uczyniła jego sędzią i oskarżycielem. Należy zatem bliżej poznać owego „łódzkiego Judyma” i szerzej przedstawić jego działania.

Głównego bohatera *Wśród kąkolu* poznajemy już w ekspozycji powieści, jako anonimowego jeszcze i nieco tajemniczego podróż-

nego w pociągu Kuluszki—Łódź, wyróżniającego się zdecydowanie nawet zewnętrznym wyglądem spośród jego zwykłych pasażerów, którymi byli szwargocący żargonem i po niemiecku łódzcy handlarze i kupcy, urzędnicy fabryczni i przemysłowcy. Oto jak widziała go autorka:

Postać jego kształtna, choć dość szczupła, świadczyła o większym wyrobieniu nerwów niż mięśni, wyróżniał się też wśród roztyłych ciał współtowarzyszy podróży. Był to jeden z ludzi, których rysopis opiewałby nieomylnie, iż mają wzrost średni, nos średni, usta średnie, oczy i zarost ciemne, a znaków szczególnych żadnych.

Ale wpatrzywszy się bacznie w twarz jego, łatwo było dostrzec, że ciemne oczy, pełne rozważli i skupienia, rzucały niekiedy błyskawiczne promienie, że na ustach ukrytych pod lekkim zarostem gościł przenikliwy uśmiech badacza, że w twarzy wyrazistej były ślady burz, które zostawiły na niej ślad niezatarty, że nos dość wielki, choć kształtny, świadczył o silnej woli i silnym charakterze, a szerokie czoło zapowiadało rozwiniętą inteligencję<sup>32</sup>.

Nie wiadomo jeszcze, kim jest i po co jedzie do fabrycznego miasta, które przygodny współpasażer rekomenduje mu jako „dobre miasto, bardzo dobre miasto, piękne miasto”, gdzie „kto ma rozum, może zrobić pieniądze”. Można się jedynie domyślać, że jest Polakiem, ponieważ razi go szczególnie dźwięk obcej mowy, że nie ma zamiaru robić w Łodzi „geszeftu”, ponieważ nie wykazuje szczególniejszego zainteresowania opowieściami o fortunach łódzkich potentatów przemysłowych, ani też niezwykłą panoramą wylaniającego się spośród iglastych lasów miasta fabryk o olbrzymich kominach, tak wysokich, „iż wobec nich pięciopiętrowe gmachy fabryczne zdawały się być karłami”, w której jego przypadkowy współtowarzysz wskazywał mu z podziwem wielkie zakłady przemysłowe Scheiblerów, Poznańskiego, Heinzla, Meyera. Jedyne to autentyczne nazwiska pojawiające się na kartach powieści.

Ta krótka podróż Krzesławskiego do Łodzi dała autorce okazję zaprezentowania także niektórych postaci łódzkich fabrykantów, którzy w *Wśród kąkolu* odegrają większe role, a więc najbogatszego z nich Pifkego, który wioził do Łodzi swoją córkę Amalię, kochliwą pannę (wpadł jej w oko również Krzesławski) powracającą po ukończeniu pensji w Berlinie, i dorabiającego się dopiero majątku Holzberga z synem, przedstawionych jako prymitywne typy, na których twarzach dostrzegano pisarka „wytrwałość i bezwzględność, cechujące rasę germańską”.

Łódź nie wywarła na Krzesławskim korzystnego wrażenia,

<sup>32</sup> W. Marrené, *Wśród kąkolu*, „Biesiada Literacka” 1890, nr 27; dalsze cytaty z powieści oznaczane są w tekście podaniem numeru pisma w nawiasie.

„przeciwie — notowała Marrené — przyzwyczajonemu do stolic europejskich brudne ulice przemysłowego ogniska, nigdy nie zamiatane ani polewane, pełne tumanów kurzu, wydawały się szkaradne”. W pejzażu fabrycznego miasta zobaczyła autorka znamienne kontrasty, które później stanowiąc będą trwałe elementy beletrystycznych i publicystycznych opisów Łodzi, i tak je interpretowała:

Ogromne zakłady fabryczne obok pól, wielkie ozdobne kamienice obok lichych dworów były obrazem tych różnic położenia, jakie istnieją pomiędzy magnatami przemysłowymi a obsługującą ich ludnością. Nędzne sklepy bez wystaw rachowały snadź tylko na konieczne potrzeby mieszkańców; napisy na nich były żydowskie i niemieckie. Po chodnikach biegł tłum różnobarwny, obarczony ciężarami, a chociaż była to godzina popołudniowa i dzień śliczny, rzadko bardzo wśród tłumu przesunął się jaki porządniejszy paltot lub tużurek, rzadziej jeszcze kapelusze i parasolka (nr 28).

Cel swojego przyjazdu do Łodzi wyjawiał Krzesławski dopiero w przypadkowym spotkaniu z uniwersyteckim kolegą w łódzkiej restauracji, prawnikiem Edmundem Brzeźnickim: chciał w fabrycznym mieście podjąć pracę lekarza, mimo że nie był, jak większość tu przybywających, bankrutem i oprócz gruntownego i nowoczesnego przygotowania zawodowego, zdobytego między innymi w paryskich klinikach (w ten szczegół biografii wyposażony później doktora Judyma także Żeromski), dysponował również niewielkim odziedziczonym majątkiem, który zapewniał mu swobodę wyboru miejsca lekarskiej praktyki. Toteż jego odnaleziony przyjaciel nie ukrywał zdziwienia, że wybrał tak niezachęcające miasto, jak ziemczoną i zajęta tylko robieniem interesów Łódź, której atmosferę i panujące stosunki przedstawił mu bardzo krytycznie, nie zachęcając do pozostania i podejmowania tu pracy:

— Skoro masz swobodę, cóż może zmuszać cię do obrania takiej jak Łódź siedziby? Tutaj osiadają tacy jak ja biedacy, zmuszeni szukać powszedniego chleba.

— I zdobyłeś go?

— O chleb wszędzie trudno — mówił Edmund pochmurno — a w Łodzi może trudniej niż gdzie indziej, choć przewija się tu tyle milionów. Konkurencja wściekła, a przy tym... [...]

— Niemcy protegują tylko swoich, i Żydzi tylko swoich...

— A my?

— Mój kochany, my nie doszliśmy jeszcze do tej doskonałości, byśmy protegowali także swoich; i podobno dlatego głównie taka u nas bieda. [...]

— Doktor zawsze znajdzie sobie praktykę, a zresztą niewiele mi potrzeba.

— Ależ świat tutejszy ma doktorów Niemców, którzy mówią jego językiem, kształcili się w jego szkołach, dzielają jego idee, a nade wszystko kłaniają się nisko przed potęgą, jaką kapitał reprezentuje. Gdybym

mógł, w jednej chwili strząsnąłbym proch z obuwia mego i wyniósł się stąd czym prędzej. Wierz mi, tu jest atmosfera zabójcza!

- Tym pożyteczniejszy może być lekarz.
- Wiesz przecież, że mówię o atmosferze moralnej, o tej gorączce zła, które porywa tu wszystko i wszystkich.
- Alboż inaczej dzieje się gdzie indziej? Ludzie są wszędzie ludźmi.
- Ludzie są ludźmi, ale stosunki tutejsze potęgują tę moralną zarazę.
- Tym bardziej trzeba przeciwko niej działać.
- Tak wszyscy mówią z początku... a potem... potem... (nr 28 i 29).

Rozczarowania przyjaciela i jego zdecydowanie negatywna opinia o stosunkach w „przemysłowym ognisku” nie odwołały jednak doktora Krzesławskiego od stanowczo podjętej decyzji zamieszkania na stałe w Łodzi i rozpoczęcia tu lekarskiej praktyki. Uzasadniał to następująco:

Pociąga mnie tu moja specjalność. Zagranicą będąc zacząłem studiować choroby, jakie są dziedzictwem rozmaitych przemysłów. Łódź dla mnie jest wybornym punktem obserwacyjnym (nr 29).

Nie bez znaczenia w tej decyzji były także jego przekonania, wierność młodzieńczym ideałom, które — stwierdzał deklaratywnie — „powinny przyświecać ludziom w drodze życia, jeśli tylko rzeczywiście są ludźmi”.

Jakież to były ideały? Wyrosły one z gruntu pozytywistycznego programu, ale bliższe już były postawie nowego pokolenia „młodych”, którzy zbuntowali się przeciwko ograniczeniom i konsekwencjom haseł organicznikowskich. Krzesławski był zatem zwolennikiem rzetelnej pracy, nauki i fachowości, odpowiedzialnego wykonywania swoich obowiązków zawodowych, do których wszakże nie mogła tylko ograniczyć się działalność Polaka. Był więc także patriotą i społecznikiem, świadomym potrzeby obrony zagrożonych interesów narodu i pogłębiającego się konfliktu między kapitałem a pracą. Stąd widział potrzebę zajęcia się w Łodzi nie tylko sprawami dyskryminacji narodowej, ale także klasą najbardziej społecznie upośledzoną — proletariatem fabrycznym, który zdany całkowicie na łaskę i niełaskę pracodawców był przez nich najbezwzględniej eksploatowany. Ostrości widzenia tych spraw dodawał niewątpliwie fakt, że pracodawcami byli tu Niemieccy kapitaliści, a siłą najemną prawie wyłącznie Polacy. Wyposażyla zatem Marrené swojego bohatera w świadomość i program właściwy ówczesnej postępowej inteligencji, do której sama należała, a która przyznawała robotnikom, że wydziedziczono ich z ludzkich praw, lecz nie godziła się ani na walkę ekonomiczną, ani polityczną z kapitalistami. Takie przekonania i program zilustrowała znamienne działalnością Krzesławskiego w Łodzi.



Swoją społeczną misję w „przemysłowym ognisku” zaczął on od sprawy „wysadzonych z siodła” przedstawicieli własnej klasy, którzy straciwszy rodzinne majątki nędznie egzystowali na łódzkim bruku. Ten powszechnie już przez pozytywistyczną beletrystykę dostrzegany problem społecznej deklaszacji szlachty przedstawiła Marrené na przykładzie historii byłej rodziny ziemiańskiej Bosowiczów, dawnych sąsiadów Krzesławskiego, zrujnowanych przez rozrastający się przemysł łódzki, który pochłonił także ich rodowy majątek. W ten sposób autorka wzbogaciła motywację ogólnego procesu o jeszcze jedno współczesne zjawisko. Bosowiczów wydziedziczył z ich ziemi jeden z najpotężniejszych potentatów tutejszego przemysłu, znany nam już Herman Pifke, uciekając się do podstępów i oszustwa. Dopomógł mu w tym gorliwie polski notariusz, Aureli Świrski (notabene stryj Brzezickiego, kolegi uniwersyteckiego Krzesławskiego), przedstawiony w powieści jako odrażający typ człowieka pełnego obłudy i skorumpowanego. Tę ciemną i zawikłaną sprawę wyjaśnił Krzesławski znacznym nakładem energii i kosztów, zdobywając potwierdzające winę Pifkego dokumenty, co zawiadło go między innymi do dzielnicy łódzkiego świata przestępczego, podmiejskich Bałut. Ze sprawy tej uczyniła Marrené główny wątek sensacyjny i dramatyczny *Wśród kąkol*, kończąc go zabójstwem Pifkego przez doprowadzonego do rozpacz i szaleństwa Bosowicza. Tą nieprawdopodobną sceną, rozegraną przed kościołem na oczach zgromadzonego z okazji ślubu córki Pifkego tłumu, zamknęła autorka niespodziewanie swoją powieść, pozostawiając doktora Krzesławskiego zaledwie na progu jego działań w fabrycznym mieście.

A objęły one także sprawy polskich robotników fabrycznych, których lekarzem Krzesławski chciał zostać. W tym celu wynajął on skromne mieszkanie naprzeciwko największej w Łodzi fabryki Pifkego, aby być w ich pobliżu, przyjrzeć się im z bliska i służyć pomocą, gdy zajdzie tego potrzeba. Na taką okazję nie musiał długo czekać, nadarzyła się ona niebawem, gdy ciężko ranionego przez niemieckiego majstra robotnika Gruszkę opuścił — skazując na śmierć — lekarz fabryczny. Był to wyjątkowo przerażający typ pozbawionego wszelkich skrupułów i zasad moralnych lekarza, zaprzedanego karierze Polaka Fromka, który dla przypodobania się niemieckim fabrykantom ukrył swoją narodowość i przybrał niemieckie nazwisko: Frömlich. Ciemnej postaci „lodzermenscha” przeciwstawiła autorka idealną postać doktora Krzesławskiego — „łódzkiego Judyma”, każąc im stoczyć dyskusję o zadaniach i obowiązkach lekarza w przemysłowym mieście, o warunkach pracy robotników fabrycznych. Frömlich oczywiście —

po wypadku z robotnikiem Gruszką, któremu Krzesławski uratował życie i dopomógł materialnie, gdy ten wraz z żoną został wyrzucony z fabryki — stał się zaciekle wrogiem polskiego lekarza.

Scena dyskusji Krzesławskiego z Frömlichem jest jedną z ważniejszych w powieści. Starły się w niej dwie krańcowe postawy: młodego, postępowego i nowoczesnie wykształconego lekarza ze starym, niedouczonego i zdemoralizowanego rutyniarzem. Oto jej fragment:

— Kiedy pan tak bardzo chce pracować dla swoich — rzekł znowu Frömlich — to już nie wiem, dlaczego osiedlać się tutaj. Pan tu będzie miał samych niemieckich pacjentów i musisz z nimi mówić ich językiem.

— Przy łóżku chorego mówię jego językiem, jeśli mojego nie zna. Jedyny kosmopolityzm, jaki pojmuję, to kosmopolityzm miłosierdzia. Co zaś do pacjentów mojej narodowości, widział pan sam, żem ich już znalazł.

— Co tam taki pacjent! — wybuchnął Frömlich, lecz zaledwie słowa te wymówił, poczuł ich całą niestosowność.

— To — poprawił się niezręcznie — uczynek miłosierdzia. Miłosiernym wszędzie być można. Zawsze ja dziwię się, że pan Łódź sobie wybrał...

— Badam choroby spowodowane przez różnorodny przemysł.

— Jakie choroby! — zawołał Frömlich. — Takich chorób nie ma wcale...

— Nie ma? a zatrucia przez preparaty chemiczne, a kolka garbarzy, a...

— Tak! to mogło być kiedyś, dawniej, ale dziś, przy wzorowym urządzeniu fabrycznym, kiedy właściciele robią wszystko co możliwe...

— Co możliwe? Zapominasz pan, że tu właśnie idzie o to, co możliwym nie jest. Przy największym przewiewie jeszcze niedostrzegalne pyłki bawełniane unoszą się w powietrzu, wchodzą w organizm i osiadają na płucach. Wysoka temperatura kuźnic powodować zawsze będzie tysiące chorób. Mów pan, co chcesz, przemysł ma swoje ofiary, a w walce o byt ludzie dziesiątkowani są nieustannie niewidzialnymi pociskami, które zabijają jak stożkowe kule. [...]

— To wszystko piszą i mówią teoretycy nie znający położenia, ale ja... ja, który mieszkam w Łodzi od lat blisko dwudziestu, ja, doktor zakładów Pifkego, Höhnego, Schrimela, ja mogę pana zapewnić, że nie widziałem żadnej z chorób, o jakich pan mówiłeś. Przeciwnie, choroby płucne są tu rzadsze niż gdzie indziej, suchoty prawie nie istnieją. To są tylko wymysły zazdrosnych.

— [...] Nie chodzi mi bynajmniej o osławienie tego lub innego przemysłu; wiem, że są prace, które choć niebezpieczne, wykonywane być muszą. Zresztą prawdy nikt lękać się nie powinien, a ja chcę badać...

— Co badać? Tu nic nie ma do badania, wszystko jest, jak być powinno. Pan Pifke nie żałuje niczego dla swoich robotników, pan Höhne także i pan Schrimel także. Tak jest wszędzie, ale ja mówię tylko o tym, co widzę sam. To rozkosz oddychać takim powietrzem, jak te fabryki mają...

Pan Frömlich wpadł w zapał prawdziwy, a widząc, iż Krzesławski go słucha, zaczął opisywać nieporównane szczęście, jakiego doznają ludzie Pifkego, a także Höhnego, Schrimela i wszystkich zgoła fabrykantów łódzkich. Chociaż tego nie powiedział wyraźnie, znać było jednak, iż pomiędzy wszystkich wyróżniał Pifkego. Takich jak Pifke mało było na świecie!

Wychwalał jego wspaniałość i smak wytworny, ojcowską opiekę dla pracowników i doskonałą kuchnię, cnoty domowe i wentylację fabryki, tworząc z wszystkiego razem dziwną mieszaninę, z której wynikało pokorne uwielbienie dla łódzkiego potentata (nr 40).

W tej werbalnej dyskusji dopomogła autorka swojemu bohaterowi argumentem najwymowniejszym: obrazkiem z rzeczywistości, przedstawiającym wysypujący się z fabryki „tłum nędzny, błądy, wyczerpany, złożony z mężczyzn, kobiet, dzieci”.

Dzieci szczególnie — opisywała Marrené — wyglądały jak stare; wśród twarzątek pozbawionych jędrności i czerstwej barwy, obwisłych, ziemistego koloru, świeciły gorączkowo oczy podkrążone. Chude ich nogi dźwigały z wielką trudnością ociążały korpus, a na białych obliczach wielu widać było zupełne stępienie umysłu.

Tym zdolnym poruszyć najtwardsze serca i sumienia obrazem nędzy i wyzysku dzieci, najbardziej wobec swego losu bezbronnych, na co wyjątkowo uwrażliwieni byli pisarze pozytywistyczni, kończyła Marrené dyskusję obu lekarzy, dając w niej równocześnie zarys tego problemu w fabrycznym mieście, gdzie praca nieletnich była zjawiskiem szczególnie częstym i drastycznym:

— Rzeczywiście — zawołał [Krzyształski] — wszystko idzie najlepiej na tym najlepszym świecie! Z przedwczesnych kalek wyrosną dorodni ludzie.

— Ja tego nie powiedziałem — odparł Frömlich — dzieci przedwcześnie pracować nie powinny. To rodzice są chciwi zarobku.

— Istnieją przecież przepisy. Praca dzieci musi być ograniczona.

— Naturalnie jest ograniczona: do ośmiu godzin najwyżej.

— Ach! widzisz go, ośmiu godzin — krzyknął jeden z malców, który te słowa dosłyszał. Wykrzywił się, zrobił nieprzyzwoity ruch, błysnął gniewnie oczami i wpadł w boczną uliczkę.

— To dopiero parada, osiem godzin! O ósmej do roboty puszczają, a tu siedzimy już od piątej — mruknął drugi chłopak z zapadłymi oczyma, w których paliła się gorączka. [...]

— Nie można wierzyć wszystkiemu, co się tu słyszy — począł tłumaczyć doktor fabryczny.

— Ani nawet temu, co się tu widzi?

— No, nadużycia trafić się mogą, wyjątek nie jest regułą, zresztą co Holzberg, to nie Pifke.

Próbował jeszcze swojej wymowy na ten temat, ale widział, że wysiłek był daremny. Przy rozstaniu był najserdeczniej niezadowolony z nowego kolegi (nr 40).

Obie sprawy: bezprawnie wywłaszczonego z ziemi Bosowicza i wyrzuconego z fabryki robotnika Gruszki, dały bohaterowi *Wśród kłókołu* okazję stoczenia zasadniczej dyskusji o problemach polskich w fabrycznym mieście z ich głównym sprawcą, Herma-

nem Pifke — „wielkim przemysłowcem”, najdobitniej i najszerzej przedstawionym w powieści przykładem ekspansji niemieckiego kapitału. Krzesławski wystąpił w niej nie tylko jako obrońca spraw poszczególnych „pokrzywdzonych”, lecz jako przedstawiciel narodu, który Niemcom udzielił gościny we własnym kraju, oskarżając ich o jej nadużycie. Wypowiedział w niej to, co „leżało na sercu” (określenie Marrené) warszawskim pozytywistom i stanowiło owe „drażliwe” problemy, które echem odbijały się w stołecznych pismach. Zarzucał „łódzkim Niemcom” narodowy egoizm i izolację, eksploatowanie sił narodu i jego germanizację, a ponadto bezpodstawne przypisywanie sobie zasług „kulturtregerów”, twórców przemysłu i dobrobytu.

Za co mamy wam być wdzięczni? — pytał Krzesławski. — Za te fabryki? Bogactwo, korzyści, pracę dają one wam tylko, wam jednym. Czy zespoliliście się z krajem, w którym mieszkacie, czy dobrobyt przemysłu spływa na niego choć w sprawiedliwej mierze? Czy daje dostatni chleb pracownikom miejscowym? Nie! Zarabiacie miliony, ale jakie z tych milionów okruchy idą na korzyść naszą? Nie jesteście częścią naszego organizmu, ale raczej nowotworem, szerzącym wokoło zepsucie [...] garniecie tylko obcych lub tych, którzy wyrzekli się własnych uczuć, własnej mowy, którzy dworują waszej potędze (nr 52).

Niemiecki fabrykant, zaskoczony śmiałością polskiego lekarza, która „budziła w nim poszanowanie”, bronił się słabo argumentami kwestionowanych zasług: „Kto tu jest wrogiem: czy ten, który z małej mieściny zrobił wielkie i bogate miasto, zbudował ogromne gmachy i wprowadził do nich tysiące tysięcy warsztatów...”, skarżąc się na „brak uznania”, „czarną niewdzięczność” i „niechęć, jaką my, Niemcy, spotykamy w waszym kraju na każdym kroku, chociaż wnosimy tu oświatę, przemysł, dobrobyt...”

Tę mało prawdopodobną scenę dyskusji młodego przybysza z największym miejscowym potentatem spróbowała pisarka uzasadnić faktem równie nieprawdopodobnym: uratowaniem Pifkemu życia przez Krzesławskiego, który ponadto posiadał dowody jego oszustwa w sprawie Bosowicza, co sprawiło, że w tej rozmowie Pifke występował nie jako potężny „władca Łodzi”, lecz broniący się i naturalnie próbujący przekupić swego adwersarza „lodzermensch”. Bohater Marrené miał w tej sytuacji okazję zrobienia błyskawicznej, typowo „łódzkiej” kariery: otrzymania posady fabrycznego i domowego lekarza potentata wraz z obietnicą ręki i milionowego posagu jego córki, co oczywiście ze wzgardą odrzucił, przeciwstawiając się tym powszechnym tu, łatwym i ciemnym karierom, pozostając nadal postacią niezłomną i nieskazitelną.

Jakież zresztą — komentowała ten fakt autorka — mogły istnieć cele wspólne pomiędzy germanizatorem zawziętym, dla którego zysk był bóstwem, który dla zysku gotów był nawet pogodzić się pozornie z tym, co nienawidził, a człowiekiem służącym swoim przekonaniom niezłomnie (nr 52).

W świetle „wielkich” dialogów z Frömlichem i Pifkem, a także kilku pomniejszych dyskusji z Brzezickim czy Bosowiczem bohater *Wśród kąkolu* rysuje się przede wszystkim jako rezoner, a nie działacz, ta bowiem strona jego istnienia w powieści jest najwyraźniej tylko ilustracyjna. To także przesądza o jego „literackości”. Marrené nie zdołała przekonująco związać swojego bohatera z tłem jego działań — łódzką rzeczywistością, choć powołała ją dla niego. Toteż realia istnieją w powieści właściwie niezależnie i odrębnie, pokazane w drobiazgowych opisach wybranych z poszczególnych środowisk obrazów i sytuacji. Przekazała w nich autorka wrywkową i fragmentaryczną wiedzę warszawskich pozytywistów o życiu i problemach Łodzi, koncentrując swoją uwagę głównie na trzech warstwach jej społecznej struktury: niemieckiej burżuazji, polskiej inteligencji pracującej i robotników fabrycznych. Wypadnie zatem poświęcić im nieco uwagi.

Z dzisiejszej perspektywy niewątpliwie najbardziej interesujące jest to, co autorka pierwszej powieści o Łodzi miała do powiedzenia o jej najliczniejszych mieszkańcach — fabrycznym proletariacie, który został przez nią dostrzeżony i przedstawiony w kilku zbiorowych i indywidualnych (rodzina robotnika Gruszki) obrazach, stanowiąc ważny element łódzkiego tła tej powieści. Nabiera to tym większego znaczenia, że w następnych powieściach o Łodzi nie pojawi się on zupełnie, jak w *Bawelnie* Kosiaiewiczza, albo tylko marginalnie, jak w *Ziemi obiecanej* Reymonta, uwaga tych autorów skupi się bowiem przede wszystkim na łódzkich businessmanach i ich „sposobach” zdobywania fortun.

Na łódzki proletariat spojrzała Marrené oczyma pozytywistki, widząc w nim wydziedziczoną i pokrzywdzoną część narodowego organizmu społecznego, niezdolną jeszcze dochodzić swych praw i bezradną wobec siły i wszechwładzy pracodawców, stąd też wymagającą pomocy i opieki. To właśnie robotnicy fabryczni, obok zdeklasowanego ziemiaństwa, byli głównymi obiektami zainteresowań i działań jej bohatera. Autorka chciała przede wszystkim przedstawić, jak ciężka, wyczerpująca i niebezpieczna jest ich praca w nowoczesnym przemyśle. Pokazywała więc łódzkich robotników na tle ich warsztatów pracy, fabryk włókienniczych, których dała pierwsze literackie opisy. Uderzają one, zwłaszcza w kontekście np. drobiazgowych opisów pałaców łódzkich potentatów, zwięzłością:

Naprzeciwko stały zabudowania fabryczne z czerwonej nieotynkowanej cegły, z kominami sterczącymi ku niebu jak kolumny. [...] Przed piątą otwierały się na oścież żelazne bramy dziedzińca, fabryka przyjmowała swych pracowników, z niebotycznych kominów buchały kłęby dymu, syczały olbrzymie kotły. Para na kształt iskry elektrycznej obiegała warsztaty i maszyny, które rozpoczynały swój taniec piekielny: jedne rwały podsuwaną sobie bawełnę, inne nadawały jej kształt wałka, inne rozbierały ją na nitki i te nitki skręcały, nawijały na tkackie warsztaty, a salfaktory stalową ręką przesuwały cewki... Wielki budynek drgał w swoich posadach, od dolnych pięter do szczytu, pod uderzeniem tych pulsów olbrzymich: dy-szał, jęczał, piszczał, zgrzytał tysiącem swych członków, wśród których poruszało się mrowisko ludzkie na kształt drobnych owadów wplątanych w sieć potwornego pająka, który mógł zgnieść ich wszystkich przy jednym niezręcznym ruchu (nr 33).

W ich „piekielnym hałasie” mijał od świtu do nocy czternastogodzinny dzień pracy, po którym z fabryk wysypywał się tłum krańcowo wyczerpanych ludzi:

Znużenie straszne ciążyło nad tą rzeszą, zamykało jej usta i krok opóźniało. Niektóre tylko silniejsze organizmy wychodziły zwycięsko z kilkunastogodzinnej pracy i zachowywały rzeškość, ogół szedł wyczerpany, senny, bez ożywienia rannego, z jedną tylko żądzą spoczynku lub w jakimś podnieceniu nerwowym, jakby pijany, odurzony, nieprzytomny (nr 33).

„Wyczerpaniem fabrycznym” tłumaczyła pisarka „dziwne podniecenie”, „niezdrową fantazję” i „nadmierną drażliwość” przepracowanego proletariatu, który wedle jej diagnozy właśnie po takiej pracy skłonny był do kłótni i bójek:

Kieliszek wódki starczył do zawrócenia głowy i doprowadzał do szalu już na wpół oszalałych. Wybuchały zwierzęce namiętności, pojawiały się noże, krew płynęła.

Takich opisów pierwotnego i nieokiełznanego w swych namiętnościach, a tym samym groźnego tłumu wiele było w ówczesnej prasie. Tak np. redaktor „Biesiady Literackiej”, rekomendując powieść Marrené pisał, że „nawet wśród klasy robotniczej, owym steku wszelkich wad”<sup>33</sup> zobaczyła pisarka cechy dodatnie. Trzeba powiedzieć, że przedstawiony w *Wśród kąkołu* obraz fabrycznego proletariatu, choć w wielu rysach naiwny i uproszczony, jest obrazem pozytywnym. Autorka podkreślała jego fizyczną urodę i siłę, której „złe higieniczne warunki” nie zdołały jeszcze zniszczyć, zdrowie i biologiczną młodość klasy wywodzącej się z chłopskiego pnia. Toteż jej zdaniem „muskularne i kształtne” ramiona łódzkich robotników tak nadawały się do „wiązania ni-

<sup>33</sup> Sę p [W. Maleszewski], *Z Warszawy*, „Biesiada Literacka” 1890, nr 40.

tek”, jak „wrzecziono Omfalii dla Herkulesa”. Cała więc troska pisarki w tym względzie skupiła się na dzieciach, które przedwcześnie obciążone obowiązkiem ciężkiej pracy „wiedły” i „karłowaciały” nie rozwijając się prawidłowo.

Przykładem pozytywnych cech łódzkiego proletariatu, jak widziała je Marrené, była w jej powieści rodzina Karola Gruszki, młodego, „zdolnego i pracowitego” robotnika, któremu „powierzano najtrudniejszą robotę w fabryce”, dlatego też zarabiał dobrze i wyróżniony był przydziałem mieszkania w fabrycznych domach Pifkego, zbudowanych — komentowała pisarka — nie z filantropii, a dla interesu:

Robotnik mający tanie i bliskie fabryki mieszkanie jest pilniejszy, bardziej dbały o miejsce, nie opuści go nawet w chwili nawału pracy. Przywiązuje się do swego kąta, stara się go przyozdobić (nr 36).

W fabryce Pifkego pracowała także żona Gruszki, która „nie ustępowała mu w pracy i zarobku”; oboje stanowili „najpiękniejszą parę”, przykład pracowitości, zdrowia i urody polskich chłopów, których sił nie wyeksploatowała jeszcze fabryka, a znośne warunki egzystencji „nie złamały ani ugięły” ich „bujnej natury”. Tragedią Gruszki i jego rodziny stać się miała uroda jego żony.

Na tym przykładzie spróbowała Marrené pokazać jedną z drażliwszych cech stosunków fabrycznych, a mianowicie uzależnianie pracy kobiet od przyjęcia „względów” majstra, „wszechpotężnego w fabryce”. Gruszka bronił swego honoru pięściami, niemiecki majster atakował nożem, raniąc go śmiertelnie. Dalsze koleje tej sprawy już znamy. Warto dodać, że interpretując ten wypadek na łamach „Biesiady Literackiej”, komentator *Wśród kąkolu*, nieskory do przypisywania robotnikom jakichkolwiek zalet, widział w nim przejaw dodatnich, wyższych niejako wartości „polskiego robotnika, który umie bronić czci swej żony, czci swego chłopskiego nazwiska”<sup>34</sup>, wymowną ilustracją tytułu, że nawet wśród kąkolu...

Sprawa wyrzuconych z fabryki Gruszków dała pisarce okazję bliższego wejrzenia w wewnętrzne życie fabryki i ukazania w nim roli niemieckiego personelu nadzorczego — dyrektorów i majstrów, od których całkowicie uzależnieni byli polscy robotnicy. Przedstawiła ich jako bezwzględnych i gorliwych egzekutorów interesów właścicieli, dbających wyłącznie o nie, karzących robotników najzupełniej samowolnie za najdrobniejsze uchybienia

<sup>34</sup> Tamże.

obniżaniem zarobków i równie samowładnie wyrzucających ich z pracy — „panów życia i śmierci” fabrycznego proletariatu.

Stosunek niemieckich pracodawców i ich personelu do polskich robotników zilustrowała Marrené wymownie dialogiem Pifkego z dyrektorem jego fabryki, Zwirnem:

— A jakżeż tam — spytał [Pifke] — urządzać się z robotą dzieci? Ja nie chcę mieć do czynienia z inspektorem fabrycznym. Pamiętaj pan o tym.

— Inspektor nie może zabronić dzieciom bawić się na dziedzińcu — odparł Zwirn z wyrazem przebiegłości [...] — W razie wizyty wypuścimy je z warsztatów, a ja już nauczyłem, co gadać mają, bo inaczej... [...]

— To niesłyszane rzeczy — mówił Zwirn — tego nigdy nie było, żeby nie można w swojej fabryce urządzić się, jak potrzeba. Dzieci pracowały zawsze, dopóki szły maszyny, i było dobrze. Czy to my ich gwałtem braliśmy? czyśmy im nie płacili? A teraz dzieci mają tylko osiem godzin pracować, dzieci mają się uczyć. Czego? Na co? Czy na to, żeby im się w głowie przewracało? [...]

— Ale czy jesteś pan pewny, że nas nie oskarżą? Kto to wie...

— Nie, ja się tego nie boję. Jak my kogo odprawimy, to gdzie on pójdzie?

Logika tego argumentu uspokoiła Pifkego, a Zwirn mówił dalej:

— Chociaż ja byłbym jeszcze pewniejszy, gdyby nie te przeklęte polskie chłopcy. Co z nimi robić, oni własnego interesu nie rozumieją. [...]

— Polskie chłopcy to tańszy robotnik — zauważył Pifke.

— No tak; gdyby też on nie był tańszy! [...]

— Wczoraj — mówił dalej Zwirn — były dwie sztuki zepsute, nie przyjąłem; kto psuje, ten niech płaci.

— Naturalnie. Wiele pan straciłeś?

— Jednemu dziewięć rubli, drugiemu sześć; skarżyli się, jeden nawet powiedział, że to przeciw przepisom.

— Żeby do wszystkich przepisów się stosować...

— Ja też powiedziałem, że mogę sztukę przyjąć, a jego fort z fabryki. Ta kaleka [...] przychodziła znowu prosić o robotę.

— Cóż z niej może być — kaleka.

— Ona mówi, że tu palce straciła, że tu powinna znaleźć zajęcie. [...]

— Powinna, proszę! Któż jej kazał kłaść palce między gremple. Jeśli okaleczała, winna własna nieostrożność, tylko własna nieostrożność — jak zawsze.

— Ja też tak powiedział — zaśmiał się Zwirn. — Krzyczała, że z dziećmi z głodu umiera, że pójdzie do sądu.

— Niech idzie — zawyrokował Pifke. — Ciekawym, co zrobi? Darmo zjadów żywić nie myślę (nr 42).

Proletariat fabryczny jawił się w powieści Marrené jako świadomy swej krzywdy, lecz bezsilny i zastraszone tłum, „skarżący się” na swój los, wyzysk i bezprawie, sparaliżowany w swych działaniach obawą o utratę pracy. Jawniej i ostrzej robotnik manifestował swoje niezadowolenie dopiero po opuszczeniu murów fabryki, w bezpiecznej odległości od swych „wszechpotężnych panów”, albo gdy usunięty z fabryki, nie miał już nic do stracenia.



Taką scenę przeklinającego „szwabów” tłumu wyrzuconych na bruk fabrycznego miasta kalek, żebraków i dzieci, obdartych i głodnych, pokazała pisarka w końcowym fragmencie powieści, ustawiając go za wysokim ogrodzeniem pałacu Pifkego i każąc patrzeć na przepych odbywającego się tam balu:

— Przy nich nikt się nie pożywi, sami by prędzej ze skóry odarli. Niech ich ta siarczyste pioruny trzasną! — wołał jakiś żebrak zawieszony na kulach. [...]

— A niech ich ta trzaśnie tych szwabów! — powtórzył chór cały! [...]

— To sprawiedliwość, to sprawiedliwość... Żeby im się tam dach nad głową spalił! żeby Bóg nie miał miłosierdzia nad nimi! jak oni go nie mają nad nami (nr 47).

Taki, pierwszy w polskiej literaturze, obraz łódzkich robotników zanotowała w swojej powieści Waleria Marrené. Nie jest on wolny od uproszczeń i ograniczeń, z których najwyraźniejszym jest motywacja ich sytuacji wyłącznie agresywnością, narodowym egoizmem i bezwzględnością niemieckich kapitalistów; trzeba jednak podkreślić, że ci w strukturze ekonomicznej ówczesnej Łodzi istotnie dominowali. Dała w tym obrazie pisarka również wyraz pewnej znajomości realiów życia tutejszego proletariatu i nurtujących tę klasę problemów. Nie stanowiły one już, jak np. stosunki fabryczne, tajemnicy dla współczesnych, pisała bowiem o nich coraz częściej polska prasa, w tym również „Dziennik Łódzki”, ale nikt dotąd nie próbował przedstawić ich środkami literackimi i obudzić szerszego zainteresowania sytuacją łódzkiego proletariatu fabrycznego. W proporcjach powieści Marrené o „łódzkich stosunkach” motyw ten nie dominuje, ustępując miejsca obrazom i zdarzeniom z życia polskiej inteligencji, a przede wszystkim szeroko rozbudowanym scenom rodzinnego życia niemieckiej burżuazji.

Losy i sytuację polskiej inteligencji w fabrycznym mieście pokazała pisarka, podobnie jak w przypadku proletariatu, w ścisłym kontekście stosunków polsko-niemieckich, lecz zilustrowała odmiennie, ograniczając się wyłącznie do przedstawienia kilku postaci, jakby chciała powiedzieć, że warstwa ta była tu siłą liczebnie jeszcze niewielką i niezintegrowaną. Znamy już przykład oszukanej i wyrzuconej na łódzki bruk rodziny Bosowiczów, warto jednak w tym miejscu zwrócić uwagę na sprawę, która Marrené szczególnie „leżała na sercu”, a mianowicie postępujący proces wynaradawiania się i demoralizacji polskiej inteligencji, czego najdobitniejszym przykładem był w powieści zniemczony lekarz Frömlich, ale także notariusz Świrski, były ziemianin. Na ich przykładzie chciała pokazać pewne etapy tego procesu, kla-

syfikując Frömlicha jako zdeklarowanego już Niemca, a Świrskiego jako jeszcze Polaka, lecz nadto gorliwie służącego obcym przybyszom, pozbawionego moralnych skrupułów i gotowego wziąć udział w najciemniejszym interesie. Takim niebawem, wedle jej diagnozy, mógł stać się także „słaby” Brzezicki, któremu tylko „niezłomność” Krzesławskiego dodawała nieco sił. Byli to ludzie — poza oczywiście głównym bohaterem — porażeni atmosferą przemysłowo-handlowego miasta, gdzie potęgą i jedynym miernikiem wartości był pieniądz, a największym uznaniem i autorytetem cieszyli się ludzie bogaci. Tych w powieści Marrené reprezentują wyłącznie Niemcy, toteż postawę nielicznych tu Polaków określiła pisarka stosunkiem do nich. Każdy był już pochylony: bądź z podziwu — w hołdowniczym pokłonie, bądź z obawy o egzystencję — w pełnym rezygnacji spuszczeniu głowy. Tak zrezygnowany i przygięty nadmiernym ciężarem nieszczęść i trosk był Bosowicz, zdolny tylko do rozpaczliwego aktu zemsty. To on między innymi, by nie stracić posady oficjalisty w fabryce Holzberga, obawiał się jawnego czytania polskiej gazety lokalnej — „Dziennika Łódzkiego”, i czynił to tylko przy szczelnie zasłoniętych oknach. Na tym jaskrawym i mało prawdopodobnym przykładzie, w którym tutejsza gazeta urastała do rangi pisma niemal konspiracyjnego, chciała Marrené pokazać, jak dalece sięgała kontrola i ingerencja niemieckich pracodawców. Skomentował to nie bez ironii felietonista „Dziennika Łódzkiego”: „»Dziennik« [...] uważa ona, zdaje się, jako ziarno zdrowe »wśród kąkolu«, opisując w powieści, że samo czytanie tego pisma gubi czytelnika w oczach chlebobdawcy. »Dziennik« wedle tego opisu (o czym nie wiedzieliśmy) czyta się przy drzwiach zamkniętych, okiennicach również, omal że światła przy tym się nie gasi, aby kto nie podpatrzył, nie doniósł, gdzie należy, i nie pozbawił tym miejsca zarobku każdego oficjalistę lub robotnika fabrycznego”<sup>35</sup>.

Przygnębiającemu obrazowi polskiej społeczności, jej wegetacji w fabrycznym mieście przeciwstawiła Marrené życie niemieckiej burżuazji pokazane w pełnym blasku zdobytych tu fortun. Opisała je szczegółowo w szeroko rozbudowanych scenach obyczajowych życia rodzinnego i towarzyskiego łódzkich potentatów przemysłowych, w skomplikowanych i ciemnych układach intryg i interesów, powołując do życia wiele epizodycznych postaci ich matek, żon, dzieci i kochanek. Główną jednak uwagę skupiła na nich samych, ich karierach i sposobach zdobywania majątku. W postaciach Pifkego, Holzberga i Harta przedstawiła

<sup>35</sup> Homonovus [K. Łaganowski], *op. cit.*

zróznicowaną galerię tutejszych „królów kortu i bawełny”, przedstawiając najszerzej pierwszego z nich.

Herman Pifke był najbogatszy i najpotężniejszy, należał już do wąskiego kręgu „pieniężnej arystokracji” przemysłowo-handlowego miasta, uosabiając zarówno jej „pańskie gusty i próżność”, jak i największą bezwzględność w interesach; miał pałac, liczną służbę i powóz, co dodawało mu niebywałego splendoru, urządzał wystawne bale, na których bywali ci wszyscy, którzy tu chcieli zrobić karierę. Marrené pisała o nim:

Herman Pifke był sam twórcą swego majątku. Czy doszedł do niego uczciwą drogą, jak zawsze głoszą nekrologi i życiorysy, czy też, jak z cicha szeptali ludzie, węgielnym kamieniem jego była cudza krzywda, to bynajmniej nie zmieniało faktu. Był bogaty i co za tym idzie, posiadał szacunek, jakim ogół darzy miliony bez względu na ich pochodzenie. Przy tym, jeśli co do genezy majątku mogły istnieć wątpliwości, nie istniały one względem rozumu i sprytu Pifkego. Spryt ten nie ograniczał się tylko do zdolności robienia majątku, ale obejmował rozległe stosunki (nr 33).

Kolejny w hierarchii łódzkich potentatów, Julius Holzberg, wolny od snobizmów swojego bogatszego rodaka, stanowił przykład typowych niemieckich zalet: pracowitości i porządku, „z całą ciasnotą horyzontów, groszową oszczędnością i niczym nie maskowaną żądzą zysku” — dodawała autorka *Wśród kąkolu*. Dorabiał się swego majątku powoli i z rozwagą, wciągając do pracy w fabryce swoich synów, z których jeden miał zostać mężem bogatej panny Pifke. Przeciwnieństwem starego Holzberga był Hart, niedawno przybyły do Łodzi pruski oficer, okaz tępoty i swoiście pojętego honoru. Dała im Marrené za towarzyszkę życia żony stanowiące dopełnienie ich typologicznej charakterystyki: bądź pracowite i ograniczone mieszczałki, bądź takie jak „piękna pani Hart”, która za kosztowny klejnot gotowa była sprzedać najskrytsze i najciemniejsze tajemnice interesów swojego męża.

Obraz życia niemieckiej burżuazji ujęła Marrené satyrycznie, ośmieszając i demaskując jej wady i słabości, ograniczenia i snobizmy, mroczne strony życia i interesów, drapieżną etykę kapitalistów, co razem z krytyczną postawą pisarki wobec zamieszkałej w Łodzi polskiej inteligencji i obrazami nędzy i wyzysku proletariatu dawało w sumie negatywną ocenę nowego zjawiska, jakim w ówczesnej strukturze społeczno-ekonomicznej kraju było wielkie miasto przemysłowe. Diagnoza pozytywistki była pesymistyczna: organizm młodego ośrodka był niebezpiecznie chory, a najbardziej zagrożone były w nim sprawy polskie. Pierwszy literacki szkic portretowy fabrycznego miasta był więc obrazem krytycznym, ciemnym.

Jak przyjęli go współcześni? Niestety, niewiele na ten temat wiemy. Nie było zwyczaju recenzowania utworów publikowanych w odcinkach, czekało się zwykle na wydanie książkowe, a tego, jak wiemy, łódzka powieść Marrené nie doczekała się. Stąd wypadnie oprzeć się na uwagach wypowiedzianych marginalnie w tygodniowych felietonach, pojawiających się już w trakcie publikowania *Wśród kąkolu* na łamach „Biesiady Literackiej”, której redaktor „reklamował” ją jako „piękną powieść”, oddającą „z fotograficzną wiernością łódzką społeczność”, na której ponurym tle „szanowna autorka [...] znalazła piękną postać naszego lekarza, który nie chce być podnóżkiem niemieckim”<sup>36</sup>.

Z oceną redaktora „Biesiady”, Władysława Maleszewskiego (Sępa), polemizował felietonista „Dziennika Łódzkiego” Homonovus (Karol Łaganowski), dając tym wyraz, że powieść Marrené wzbudziła w środowisku miejscowej inteligencji wiele kontrowersji, zanim jeszcze została opublikowana w całości:

„Znany z dobroduszości redaktor, choć używa straszego pseudonimu (Sęp!), twierdzi w kronice swojego pisma z całą stanowczością, w charakterze widać znawcy stosunków Łodzi (choć nas dotąd wizytą nie zaszczycił), że autorka odmalowała w powieści społeczność łódzką »z fotograficzną wiernością«. Stąd wynika, że [...] pani Marrenowa musiała bawić u nas przez długi czas *incognito*. Zola bowiem w takich wypadkach potrzebuje za zwyczaj dość długiego czasu, jak to wiemy ze studiów, jakie odbywał w Monceau des Mines, zanim napisał swego *Germinala* [!], albo z obecnych jego studiów nad giełdą przed napisaniem zapowiedzianej powieści pt. *Pieniądz*. Szanowna autorka, hołdując metodzie Zoli, bawiła u nas co prawda *in persona* jawnie, parę razy po parę dni, w celu, jak to nawet zapowiedziała w swoim czasie prasa, napisania powieści osnutej na stosunkach łódzkich. Z krótkiego tego pobytu zrodziła się długa powieść pod uprzejmym dla łodzian tytułem: *Wśród kąkolu*, na którą chcąc zwrócić uwagę, reklamuje ją sam redaktor pomieszczającego ją pisma”<sup>37</sup>.

„Dziennik Łódzki”, piórem swego felietonisty, zarzucał pisarce „figlarność”, z jaką „z małym wyjątkiem traktuje społeczno-ekonomiczne stosunki i objawy, jak np. stosunki przemysłowe”, i nie bez ironii stwierdzał:

„Szum, turkot, hałas maszyn, kółek, warsztatów ogłusza przy powierzchownym badaniu nie przyzwyczajone do takiej kwestii głowy. Nie frazesami ani banalnym, na oklepaną nutę brzęącym

<sup>36</sup> Sęp [W. Maleszewski], *op. cit.*

<sup>37</sup> Homonovus [K. Łaganowski], *op. cit.*

szowinizmem beletrystycznym, lecz zdrową, rozumną pracą na drodze pokojowej walki ekonomicznej zmienimy stosunki na korzystniejsze dla nas. Walka ta już się rozpoczęła w Łodzi, a choć słabe i nikłe jeszcze jej rezultaty, nie zraża to coraz liczniejszych jednostek stających do szeregu. Bohaterzy jej jednak dalecy są od twórców wyobraźni autorki *Wśród kąkolu*, której jedyną i niezaprzeczalną jest zasługą, że pierwsza próbuje zaczerpnąć z nowego źródła, nie tkniętego przez nikogo dotąd, a niezmiernie obfitego — materiału do powieści społecznej. Niechby inni poszli w jej ślady, ale nie według jej tworzyli recepty, która brzmi, jak następuje: bierze się pierwszą lepszą fabułę powieściową, teatrem dla której może być tak dobrze Łódź, jak Kalisz, Lublin, Częstochowa lub jaki inny ludniejszy nieco przemysłowy punkt kraju, rozwija się to na tle niby lokalnym, dla nadania zaś tego kolorytu okrasza różnymi szczegółikami zebranymi drogą najpowierzchniejszej obserwacji, opisami miejscowości widzianych z okien wagonu i z dorożki, i miksturę tę, pełną mnóstwa nieprawości »piekła« łódzkiego, upstrzoną błędnymi informacjami, podaje się co numer po łyżce łaskawym na »Biesiadę« czytelnikom. Innego trzeba Bret Harta, Zoli lub Daudeta do zbadania i odmalowania oryginalnej i ciekawej, choć obfitującej w ciemne strony Łodzi”<sup>38</sup>.

Krytyczny werdykt „Dziennika Łódzkiego” zaostrzał niewątpliwie fakt, że od lat prowadził on politykę „zgody” z niemieckimi fabrykantami (za co między innymi ostro atakował go warszawski „Głos”<sup>39</sup>), a tych Marrené przedstawiła najbardziej krytycznie, nie szczędząc im cech i rysów karykaturalnych. Nie był on jednak pozbawiony pewnych racji: *Wśród kąkolu* było powieścią nadto schematyczną, niewyważoną w proporcjach, bardziej obyczajową niż społeczną, ilustrującą raczej niż analizującą zjawisko nowej „łódzkiej społeczności” i nurtujących ją problemów.

Sądząc z cytowanej wypowiedzi, łodzianie nie byli zachwyceni tą pierwszą próbą literackiego przedstawienia ich miasta, dalej czekali na swojego epika. Zadaniu temu miał sprostać dopiero w pewnej mierze Władysław Reymont w głośniejszej *Ziemi obiecanej*.

<sup>38</sup> Tamże.

<sup>39</sup> Szczególnie ostro zarzuty te brzmiały w korespondencjach byłego współpracownika „Dziennika Łódzkiego” A. Wiśniewskiego, który zarzucał mu, że jest pismem „broniącym interesów przemysłowców” (*Nasz program w Łodzi*, „Głos” 1889, nr 8).